

RW2010



EMMA POPIK

**NA ZAWSZE
PIĘKNI I MŁODZI**

E-MMA Popik Mistrzyni Małej Apokalipsy

EMMA POPIK
NA ZAWSZE PIĘKNI I MŁODZI
ze zbioru
Na zawsze piękni i młodzi

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2013

Redakcja Joanna Śłużyńska

Korekta Natalia Szczepkowska

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Emma Popik 2013

Okładka Copyright © Mateo 2013

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2013

e-wydanie I

Utwór bezpłatny,
z prawem do kopiowania i powielania, w niezmienionej formie i treści,
bez zgody na czerpanie korzyści majątkowych z jego udostępniania.

Aby powstało to opowiadanie, nie wycięto ani jednego drzewa.

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Ledwo postawili stopy za progiem, poczuli, że jest coś niedobrego w tym świecie. Ta rzeczywistość była niby strup, spod którego wypływała zielona materia. Dziewczyna podniosła ostrzyżoną główkę i wciągnęła gęste powietrze – jakby zapach zaschniętej krwi. Spojrzała na wahającego się chłopca z wyzwaniem: Tak mnie kochasz?

Może pod wpływem tego zapachu i przesyconego wilgocią powietrza w wielkich oczach chłopca pojawił się obraz z wczesnego dzieciństwa. Nie pamiętał o nim, zobaczył go dopiero teraz: „Zerwał się ze snu i otworzył oczy, słysząc krzyk matki. Pchała drzwi ramionami, starała się je zamknąć. Jedna ręka mężczyzny, usiłującego się wdrzeć do domu, napierała na futrynę, druga wgniatając się w zamek, blokowała go, by się nie zatrzasnął. W białej smudze światła – czarne, pozdzierane paznokcie. Czy się wygrzebał z ziemi, z grobu? Nagle jego twarz w czerni przedpokoju. Biała, zalana krwią. I tak! Z wyrwanym okiem. – To ojciec! – krzyknął i zakrył głowę poduszką”. Nie pamiętał zakończenia. Czyżby ów potwór napierał, usiłując wejść?

Chłopiec z dziewczyną odeszli już kawałek od niekończącego się ciągu budynków, okolonych murem, które nazywali swoim światem. Jasne ulice pod lampami, cicho szumiące pojazdy, radosne sklepy i weseli ludzie, podjadający lody lub frytki, chodzący po trotuarach wśród donic z drzewkami, stąpali po kafelkach w desenie, łagodni w złotym klimacie, a wieczorem zasypiali, gdy gaszono światła. Gdzieś za murem był świat drugi, nieznany i zakazany.

– Cii – mówiła matka, kładąc palec na ustach, gdy pytał o mieszkańców tajemniczej krainy. – Oni są, no, inni. – Kiwała powoli głową, jakby widząc straszne obrazy. Nie mogła się z nimi pogodzić. Czy i jej jawił się ojciec, okaleczony, którego należało wypchnąć za bramę, bo nikomu stamtąd nie pozwalano żyć tu, wśród pięknych ludzi?

Szli długą, prostą ulicą w słońcu i kurzu, mając za plecami mur, stąpali po ziemi niczyjej. Była jeszcze szansa, by zawrócić, ale ciągnął ich cel: mieszkanie w drugim

końcu miasta, gdzie się wykończają za wszystkie czasy w ciągu nadchodzącej nocy. Tam będzie gniazdko, załatwione dzięki nielicznym, grzesznym kontaktom ze znajomymi, którzy kiedyś, podobnie jak oni, wyszli i nigdy nie zdołali powrócić. A może pchała ich przede wszystkim ciekawość i chęć złamania strasznego zakazu? Musieli się dowiedzieć. Nie znali ceny, jaką im przyjdzie zapłacić, bo by się cofnęli, żeby krzyżując, zakryć głowę poduszką.

Na końcu suchej ulicy stał wielki, szary gmach szpitala pokryty płaskorzeźbami. Przedstawiały ludzi: żywe przed sekundą istoty nagle zakrzepłe w bólu, o wargach obsuniętych poza zęby, z palcami zakrzywionymi w szpony. Chłopiec z dziewczyną szli wciąż przed siebie, trzymając się za spocone ręce, które wciąż się rozplatały. Na końcu ulicy obejrżeli się przez ramię; jeszcze zdołaliby dobiec do zbawczej bramy, ale przed nimi stał okrakiem szpital i tylko przez jego drzwi prowadziła droga. Zza budynku dobiegał szum wielkich tłumów przelewających się gniewnie na placu, a także uderzenia i krzyki na przemian z jękami.

– Znowu demonstrują – powiedział chłopiec. – O co im chodzi?

– Dlatego trzeba ich trzymać w szachu, za bramą – dodała dziewczyna.

Drzwi szpitala się otworzyły i wypadł z nich mężczyzna. Rzucił się ku nim i już miał pochwycić parę i wciągnąć ją do środka, gdy spojrzawszy w twarz chłopca, stanął jak uderzony. W jego jedynym oku odbiło się zdumienie i wściekłość, oczodół drugiego był zakłęsły, lecz chłopcu wydało się, że widzi spływającą z niego strużkę krwi. Ta chwila zwłoki ich uratowała, przynajmniej teraz. Popędzili wzdłuż bryły budynku, potem wpadli pomiędzy prostokątne domy, o tynku popękany od upału, jakby cierpiącym odwieczne pragnienie, i gnali po borych brukach w przestrzeni geometrycznej, złożonej z płaszczyzn i krzywizn, wśród których wiatr wysuszał nieliczne ziarenka piasku, a na nich ostro lśniło słońce.

Wpadli w jakieś przejście pomiędzy domami i nagle znaleźli się w świecie zupełnie odmiennym. Stanąwszy w kwadracie podwórka, spoglądali na stojące

wokoło domy o ścianach poprzerastanych gałęziami roślin jak wieprzowina tłuszczem. Prostokąty okien i drzwi oplecione pnączami były nieomal niewidoczne, na tynkach rozpełzały się cienkie gałązki, tworząc jakby system krwionośny. Było tu gorąco i parno, a liście, olbrzymie niby dłonie, w kolorze intensywnej zieleni, wydzielaly zapach jak trujące rośliny. Ich warstwa zewnętrzna, cienka błona komórkowa, była przejrzysta; pod nią przelewały się żarłoczne płyny, łączące się w grudki plazmy. Czym się karmiły te zachłanne rośliny, komu dawały życie? Trudno tu było oddychać, więc zatrzymali się zadyszani po biegu.

Domy wydawały się zupełnie puste, ale na spękany beton stała urocza ogrodowa ławeczka, opleciona wieńcami liści otulającymi białe szczebelki. Siedziała tu miła staruszka robiąca na drutach.

– Do mnie dzieci, zbliżcie się – zawołała ciepło.

Podchodzili bliżej, usiłując sobie przypomnieć, z jakiej to okrutnej bajki mogłaby być postacią. Już widzieli jej łysą czaszkę o pofałdowanej skórze i twarz całą w bliznach i szwach. Olbrzymie wypukłe oczy o wodnistych soczewkach tkwiły w srebrnej blaszce czujników, umożliwiających przekazywanie obrazów do mózgu.

„Babciu, dlaczego masz takie wielkie oczy?” – pomyślała dziewczyna.

Starowina uśmiechnęła się, spod rozciągniętych, cienkich warg, których w istocie wcale nie było, bo je dawno sprzedała, wyszczerzyły się zęby, ruchome jak wielkie, żółte klawisze. Wstawiono je niedbale, widać były tanie, i klekotały przy każdym słowie.

„Babciu, dlaczego masz takie wielkie zęby?” – pomyślała dziewczyna.

Kiedy się zbliżyli, druty zamigotały szybciej. Kobieta robiła olbrzymią skarpetę, zdolną pomieścić nogę słonia; jej własne nogi okrywała od kolan derka, ale chłopiec odniósł wrażenie, że wcale ich nie miała. Tuż obok leżał tłusty, leniwy pies, wiekowy jak jego pani, będący na wpół tylko żywym stworzeniem. Także jego ciało zrosło się

z drobnymi urządzeniami, zastępującymi mu żołądek, płuca, czy umożliwiającymi przeczołganie się kilka kroków.

– Witajcie, Jasiu i Małgosiu – powiedziała z uśmiechem staruszka.

– Nie nazywam się Jaś – rzekł chłopiec, a dziewczyna zadrżała.

– Owszem, tak. – Kobieta rozciągnęła w uśmiechu szparę po ustach i zęby się poprzesuwały.

– I ja byłam kiedyś taką ładną Małgosią. Szłam przez las suchymi ulicami wśród prostokątnych domów.

– Czy spotkała pani Babę Jagę? – zapytała dziewczyna.

– To mnie spotkał zły wilk, który polował na takie ładne dziewczątka. – Ogarnęła krótko ostrzyżone włosy dziewczyny pożądliwym spojrzeniem. – I wyżarł mi usta! – wrzasnęła i zaśmiała się. – I kłami poorał twarz, wrywając kawałki skóry. A ten wilk wciąż poluje na takie ładne buzie. Łakomy jest na napiętą skórę i na jędrne policzki. Nie spotkaliście go? E, musieliście.

– A po co wilkowi cudza skóra? – zapytał rzeczowo chłopiec.

– I mnie by się przydała – rzekła łakomie stara. – Patrz! – Szybkim ruchem odrzuciła derkę z nóg, które nie istniały.

Widok był odrażający. Od kolan ciągnęły się rury i przewody łącząc je we wspólnym z psem krwiobiegu, a najdłuższa rura ciągnęła się aż do budynku i wnikała w zieleń, ssąc chlorofil. W taki sposób człowiek, zwierzę i rośliny podtrzymywały nawzajem swoje życie. Dziewczyna zasłoniła twarz, chłopiec chwycił ją odruchowo w ramiona, a kiedy stara zaśmiała się chichotliwie, ocknęli się i rzucili pędem przed siebie.

Kiedy już zniknęli w płątaniu podwórek i zieleni, kobieta zaczęła trząść głową, a potem popłynęły łzy i płakała nad swoim zmarnowanym życiem oraz pokaleczonym ciałem.

Przecież nie była jeszcze stara, a musiała aż do śmierci tkwić w opuszczonej dzielnicy, gdzie wszyscy umarli, a jej pozwolono żyć w uznaniu zasług. Właśnie z naprzeciwka wyszedł mężczyzna, a kobieta mimo że od lat nie musiała się go bać, zadrżała.

„Polujesz, wilku” – pomyślała.

– Gdzie oni pobiegli?!

– A co dostanę, jak powiem?

– Nic.

– Jestem zasłużona – wyciągnęła skądś papier – mam dyplom. Byłam dobrą dawczynią – przeciągnęła ręką po twarzy – jak widać. W nagrodę tu mieszkam.

Wilk wyrwał dokument z jej ręki i przedarł go powoli na pół, patrząc jej w oczy.

– Każdy dawca to bydlę.

– Przecież mnie schwytali, ledwo wyszłam za bramę i zawlekli do szpitala. A tam zawsze robią, cokolwiek zechcą. Wypuszczona z ich łap, nie byłam zupełna.

– Po co wylaziłaś z pięknej dzielnicy? – Znowu przedarł dokument z beczelnym spokojem.

– Pokochałam.

– Na rozpustę, na łajdactwo wyszłaś. Nie szklij, znam się na babach i na waszej miłości.

– Musiała ci jakaś zależeć za skórę – rzekła cicho, a on patrząc ponad jej głowę, zacisnąwszy zęby, dał z pasją dyplom, który otrzymała w zamian za wszystkie skrawki swego ciała, teraz zrosnięte z innymi ludźmi, których było stać na długie życie i wieczną młodość.

– To dla niej sprzedałeś swoje lewe oko? – zapytała cicho. – Jeżeli tak było, wiesz dobrze, że nie mogłam powrócić i musiałam sprzedawać z siebie coraz więcej, by mieć z czego żyć. Nie ma wyjścia, tacy jak my muszą się degenerować. Inni jeszcze mają siłę protestować. – Nasłuchiwała przez chwilę jęków rozganianego

tłumu. A potem przypomniała sobie swój los. – Dasz mi policzki tej dziewczyny? Dasz jej włosy? Świeżą skórę, pachnącą i jędrną?

Stał przed nią w rozkroku, wzięwszy się pod boki.

– Mam pieniądze. – Wygrzebała z zakamarków kiecek plik banknotów. – Mogę kupić młodość tej dziewczyny.

Wyrwał pieniądze z jej ręki.

– Wycofane z obiegu. – Schował je do kieszeni. – Tobie już nie będą potrzebne.

– Oddaj! Zapłaciłam za nie skórą, nogami, zbierałam całe życie.

– Takim jak ty nie sprzedaje się niczego – warknął. – Nie wiesz o tym? Ani skrawka, ani jednej komórki.

– Nie, to nieprawda! – krzyknęła. – Jestem zasłużona dla państwa, przecież mieszkam tu w uznaniu, zapracowałam!

– Mów, stara, gdzie poszli? – Podskoczył ku niej i zaczął szarpać za ramiona, a wtedy jej pies poruszył się i pochwycił go zębami za nogę.

Mężczyzna odwrócił się rozwścieczony i zaklął:

– Ty, bydle!

I zaczął kopać nieprzytomnie. Pies skomlał, jęczał i usiłując wydostać się spod gradu razów, wczołgiwał się pod ławkę. Od ciosu, nagle, rurka pękła, kobieta chwyciła się za gardło, zabrakło jej tchu, pies wpełzał coraz głębiej pod ławkę, kobieta trzepała rękami w powietrzu, jej pocięta twarz siniała, otwierała usta, łapiąc powietrze, lecz upadła do tyłu i znieruchomiała. Mężczyzna ocknął się, a potem powoli otarł but miękkimi roślinami. Nie spojrzawszy nawet na zwłoki, poszedł przed siebie. Na ławce leżało nieruchome pół ciała człowieka, a pod nim zdychał stary pies, odłączony od dawczyni życia.

Biegli pomiędzy prostokątami domów, a pnącza przyklejały się im do odzieży. Piękne i błękitne oczy chłopca rozszerzył strach, gładkie policzki dziewczyny

spurpurowiały od wysiłku. Zobaczyli nagle przed sobą żelazną bramę na wpół otwartą, ale wrosniętą w ziemię i oplecioną gęstwą kleistej zieleni. Choć była zardzewiała i rzeźbiona w dziwaczne wzory, przypominała wejście do ich dzielnicy. Pomyśleli, że być może okrążyli miasto i dotarli do niego od tylnej strony, więc bez namysłu wpadli w cień i mrok gęstych drzew.

Był to stary cmentarz. W ciemnozielonej trawie stały olbrzymie grobowce z czarnego gładkiego kamienia, a bramki prowadzące do ich wnętrza odsunięto na bok, więc wyraźnie zobaczyli czarne trumny z zetłętymi resztkami tiulu po brzegach i wysuszone zwłoki prześwitujące przez gnijące wieka. Wysokie drzewa łączyły się u góry gałęziami, nieomal całkowicie zasłaniając niebo. W ciemności zobaczyli stojący na polanie olbrzymi, czarny karawan, suto ozdobiony lśniącoymi złoceniami w kształcie liści i trupich czaszek. Nieopodal pasły się dwa czarne konie, ich zady lśniły aksamitną czernią w wąskim promyku słońca między liśćmi.

Stanęli zadyszani i oślepieni światłem w mroku. Nagle usłyszeli szum i ze wszystkich grobowców zaczęli wychodzić ludzie. Niektórzy, właśnie obudzeni, wydostawali się z trumien, odstawiając na bok wieka. Stanęli kręgiem i po chwili jak zahipnotyzowani wpatrywali się w chłopca i dziewczynę. A oni zaczęli krzyczeć, w przerażeniu obejmując się ramionami i zaciskając powieki, lecz co chwila je otwierali i patrzyli, czy nie wyciągają się po nich pazury kościotrupów. Toteż nie dostrzegli, skąd wyszedł mężczyzna.

– Nie bójcie się – powiedział. – Jesteśmy żywi, jak i wy.

Pozostali z otwartymi oczami, milknąc. Mężczyzna nie miał włosów, oskalpowano go, a blizna ciągnęła się wzdłuż brwi.

– Jestem tu przywódcą, ufam, że pozostaniecie z nami. Skoro tu przyszlście, macie świadomość, że jest to jedyne bezpieczne miejsce na świecie. Żyje się nam, jak u Pana Boga za piecem. Tylko my możemy się nazywać ludźmi szczęśliwymi.

Właśnie w tym momencie usłyszeli dzikie wycie dobiegające z pobliskiego grobowca. Spojrzeli w tamtą stronę. W okienku na wpół wrośniętym w ziemię za przerdzewiałymi kratami pojawiła się biała twarz.

– Nie zwracajcie uwagi, to biedna kobieta. Jej mężowi wydarli serce.

– Kto?! – wykrzyknęli jednocześnie.

– Ci sami, przed którymi uciekacie. My wszyscy wydostaliśmy się z ich szponów uzbrojonych w skalpele. Każdy z nas jest mniej lub bardziej pokaleczony i niecałkowity.

Dopiero wtedy rozejrzeli się przytomniej po milczącym tłumie, a ludzie kolejno odchylali koszule na piersi i podwijali rękawy. Ciała pokryte bliznami, powycinane płaty skóry, odpilowane żebra, usunięte rzepki kolanowe, wyjęte oczy, usunięte muszle uszu.

– Dlaczego? – krzyknął chłopiec.

– Ludzie z pięknej dzielnicy wykorzystują nas jako budulec, to im zapewnia zdrowie, młodość, przedłuża życie.

– To nie nasza wina – wyrwało się dziewczynie. – My mamy wszystko naturalne, swoje. – Ukryła policzki w dłoniach.

– I my pochodzimy z dzielnicy. Każdy z nas ją opuścił z ważnych powodów i został złapany za bramą. Takie jest prawo, czy niepisany zwyczaj: człowiek spoza dzielnicy musi stać się pacjentem szpitala.

– Nie można powrócić?

– Kto raz został okaleczony, należy do kalek. Piękny świat ich nie przyjmie, by się nie skazić. Trzeba pozostać w mieście i dalej handlować kawałkami swego ciała, by mieć z czego żyć. A ci, którzy się buntują, są bez praw. Kto nie ma siły na protest, przychodzi do nas. Tu jest zakłęte terytorium.

– Czy nie ma innego świata? – krzyknęła dziewczyna.

Mężczyzna zamyślił się.

– Podobno poza miastem rośnie las. Gdybyście tam dotarli... Ale poza tą bramą – wskazał na zardzewiałe wejście – stajecie się łupem krążących wilków. Najlepiej będzie, jak pozostaniecie z nami – zakończył, a kobieta w grobowcu znowu zawyła.

– Wy tu jecie, a nocą potrafiacie zasnąć, kochać się? – zapytał chłopiec.

– Żyjemy normalnie.

– Nie moglibyśmy – powiedziała dziewczyna. – Patrząc na wasze blizny, nieustannie czulibyśmy wyrzuty sumienia.

– Nie umiałbym tulić się z nią w grobowcu – rzekł ponuro chłopiec.

– Za tą bramą... – zaczął mężczyzna.

– Karawan! – przerwała mu dziewczyna. – Możesz nim zawieźć nas do granic miasta.

Potrząsnął przecząco głową.

– Zawieź nas tam, dokąd idziemy – poprosił chłopiec. – Kolega czeka na nas w swoim pokoju. Niedaleko stąd. On nam pomoże.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę, wreszcie zaczął powoli zaprzęgać konie. Mieszkańcy cmentarza wciąż stali, napawając się urodą przybyszów, aż nagle z grobowca zdołała się uwolnić kobieta w białej sukni. W rękę trzymała czaszkę. Ten ludzki szczątek leżał w ziemi wiele lat i pożółkł ze starości, lecz szalona tuliła go do piersi.

– To on – szeptała ustami spieczonymi od gorączki.

Oprzytomniała nagle, widząc obcych.

– Nie zamykajcie mnie – poprosiła. – Wiem, że utraciłam zmysły, ale teraz mi wróciły. Pragnę stąd odejść i oddać szpitalowi całą siebie. Nie chcę żyć, nie mam po co. – Odłożyła na grobowiec czaszkę, opierając ją na połamanej szczęce.

Ludzie chcieli ją schwytać, lecz dowódca ich powstrzymał.

– Ona ma prawo wybierać, niech idzie.

Biała suknia kobiety szargała się w trawie, gdy szła ku żelaznej bramie. Stała, odwróciła się ku ludziom i wciągnawszy powietrze z głębokim westchnieniem, zdecydowanie przekroczyła granicę. Milczenie pochłonęło ją bezpowrotnie.

Konie już były wprzęgnięte, stały, obijając ogonami o nogi, a ich czarna sierść lśniła, przypominając skórę demonów. Mężczyzna stał przy karawanie, przytrzymując ramieniem uchylone drzwiczki, i zapraszał ich do środka. Wzdrygnęli się, jakby mieli wejść do trumny, dziewczyna chwyciła chłopca w pól i zbliżywszy się powoli po ciemnej trawie, wstąpili po dwóch stopniach do czarnego wnętrza.

Po chwili ich oczy przyzwyczyły się do mroku. Czarne pudło zaiste było jak grób; zanim zdążyli pomyśleć, drzwi zatrzasnęły się za ich plecami. Przeszył ich dreszcz, karawan szarpnął, upadli na podłogę; nie przybito tu ławki, musieli leżeć, więc się objęli ramionami, by szarpnięcia pojazdu nie turlały ich po podłodze. Pierwszy raz w życiu ciała naparły na siebie, marzyli kiedyś o tym, gotowi wszystko poświęcić, a teraz czuli się niby dwie drewniane klepki, wstrząsane regularnie na zakurzonej podłodze. Dziewczyna wtuliła policzek w ramię chłopca, by się nie rozkrwawić o deski, a on próbował wzrokiem przeniknąć ciemność. Jechali powoli, noga za nogą i wydawało się, że świata nie ma, a poza ich ruchomym grobem nie istnieje życie.

Nagle się zatrzymali i po chwili drzwiczki zostały otwarte. Oślepieni słońcem, trzymając się karawanu i macając stopami, wysiedli, mając wciąż zaciśnięte powieki. Zanim je otworzyli, karawan bezgłośnie odjechał.

Byla to dzielnica wielkich pustych wieżowców na tle lasu. Ale zieleń pochłaniała domy, leżąc na ich dachach olbrzymią ośmiornicą i obejmując ściany mackami gałęzi. Wślizgiwały się przez okna, by się rozprzestrzenić po podłogach setek pokoi milionami liści. Już nie wiadomo było, co jest starą płytą betonową, co ścięgniemi żywego drzewa, tak się wszystko poprzeraślało wzajemnie. Tu i ówdzie z

przerdzewiały rur wyciekała woda w tej kiedyś nowoczesnej i wymarzonej dzielnicy. I tu nikt nie mieszkał.

Dopiero teraz zrozumieli, jak mało jest ludzi w tym wielkim mieście i dlaczego ciało, narządy i kości są tak bezcennym towarem. Wiedzieli, że niektórzy muszą dostarczać materiału tym, którzy mogą przeżyć – już się jakoś z tym pogodzili – ale gdzie jest prawdziwy wróg w ogóle nie wiedzieli, ani nie odgadywali przyczyny. Myśleli tylko o tym, by odnaleźć przyjaciela, już nie po to, by skorzystać z jego mieszkania; na samą myśl o tym czuli teraz zawstydzenie, ale trwała w nich wiara w pomoc i przewodnictwo tego człowieka. On im powie, jaką drogą przejść przez skłębioną dżunglę, by dotrzeć do innych światów. Wstąpili w białe, betonowe pudło stojące na mniejszym z boków i szli wśród pełną po schodach zieleni i resztek dawnego życia.

Wszędzie walały się buty, rozwłóczyły wzorzyste suknie, zsypywały się stosy zetlałych książek, lecz w pustych, szalonych od zieleni pokojach brakowało ludzi. Potrącili skrzynkę jakiegoś aparatu, a ta spadła w dół po piętrach, czyniąc łoskot na każdym z żelaznych stopni. Zatrzymali się przerażeni, ale nie było żadnego odzewu. Dopiero, kiedy hałas ucichł, usłyszeli słaby krzyk.

– Do mnie, tutaj! – I głos zamilkł.

Po chwili potrzebnej na uspokojenie bicia serca zaczęli biec, gdzie wzywano. Chłopiec rozpoznał głos przyjaciela, z którym bawił się w zamierzczłym pięknym dzieciństwie. Potem przyjaciel zniknął, nikt nie chciał wyjaśnić, co się z nim stało, toteż niedawno usłyszany głos w telefonie wzbudził w chłopcu radość, zwłaszcza że propozycja skorzystania z pustego apartamentu rozwiązywała ich problemy.

Jadąc tu karawanem, myślał o koledze jak o ostatniej desce ratunku. I cóż zastał! Jedną ścianę zarastała zieleń, a tamten leżał na niej rozkrzyżowany tysiącem rurek łączących się z rdzeniem drzewa. Jego twarz była zupełnie biała i pergaminowa, a oczy zapadnięte i mętne. Ciało już prawie zostało wessane przez roślinę, trawiła

resztki kości nóg, płacząc się pomiędzy jelitami. Jakże człowiek mógł jeszcze żyć w takim stanie?! Zresztą już konał. Nie powie o żadnej drodze przez las ani o sposobie wydostania się na wolność. Chłopiec spojrzał na zbitą pilśń lasu. Nie ma żadnej ścieżki ani przesmyku. Nie ma wolności, świat nie istnieje. Poza tym okrutnym miastem jest tylko zieleń, która czyha i pochłania.

Dziewczyna, drżąc, obejmowała chłopca, wtulając twarz w jego ramiona i starała się nie patrzeć na straszny widok. Odruchowo przygarnął jej głowę.

– Oszukał mnie – szepnął z rozpaczą.

„Czekałem tak długo, przyjacielu – myślał umierający. – Wierzyłem, że mnie uratujesz. Te rośliny pozwalają nam beztrąsko żyć, póki jesteśmy zdrowi, a w razie choroby to one wyciągają z nas soki. Mógłbyś mi dać kawałek siebie, to nic złego, naprawdę, w przyszłości i ja poświęciłbym wszystko, czego byś zażądał. Ten wilk...” – myśl się urwała, a z korytarza wyszedł mężczyzna, który śledził parę od samego początku. Stanął, zasłaniając wejście, ale i tak nie zdołaliby uciec.

Chłopiec wpatrywał się w jego twarz.

– Chciałem wam oszczędzić tego widoku. Czekałem na was już przed szpitalem, ale mi umknęliście, więc musiałem się ukryć.

„Zdradziłeś mnie, przyjacielu” – pomyślał chłopiec, wpatrując się w twarz mężczyzny. I wtedy zobaczył ją w innym świetle. Pada na nią ostra smuga z lampy, z oczodołów płynie krew.

– Ojciec! – krzyknął.

– No to co? – rzekł tamten twardo.

– Dlaczego? – jęknął chłopiec, a dziewczyna odchyliła głowę i spojrzała z ciekawością i nadzieją.

– Ja też zrobiłem to z miłości. Tak! Dla twojej matki. Żyliśmy w nędzy, więc sprzedałem swoje oko i uciekłem ze szpitala, przekopując się przez ziemię. A ona! Przeniosła się do pięknej dzielnicy. I wiesz, co robiła! Ty mnie nie obchodzisz! –

podskoczył i wbił synowi w ramię igłę zastrzyku, po którym chłopiec osunął się na ziemię.

Dziewczyna, nim z nią uczyniono to samo, zobaczyła, jak ciało na ścianie traci wodę i zamienia się w suchą rzeźbę człowieka z bolesnym grymasem twarzy, taką jak na gmachu szpitala.

– **D**laczego tu jest tak ciemno? – zapytał chłopiec, ale dziewczyna, mając wyciętą skórę na policzkach, nie mogła wyjaśnić, że ojciec kazał wyjąć mu dwoje oczu. Teraz turlają się na podłodze karawanu, który z litości czekał na nich przed szpitalem; a mężczyzna z cmentarza wyniósł nieprzytomnych, by uratować ich i dać im szansę życia wśród grobowców. Bo piękna dzielnica jest przecież przeszłością i dzieciństwem, innego świata nie ma, a my wszyscy jesteśmy mniej lub bardziej okaleczeni.

Oficyna wydawnicza **RW2010**

**Na każdą kieszeń
na każdy czytnik**

Nie chciałbyś przeprowadzić tej rozmowy, bo po jej zakończeniu może zginąć cała cywilizacja. Opowiadania z tomu „Wywiad z bogiem” to podróż przez różne światy i rzeczywistości, w których zdobędziesz „żonę na tydzień” i poznasz własny charakter. Zadziwisz się i poczujesz strach, ale któż tego nie lubi?



A gdybyś pewnego dnia się obudził i wymacał z przodu piersi, które wyrosły nocą, to co byś zrobił?

Emma Popik to mistrzyni krótkiej formy, która powraca w świetnej formie w zbiorze nigdzie wcześniej niepublikowanych tekstów.

**Dobre ebooki
w dobrej cenie**

szukaj na

www.rw2010.pl

lub w e-księgarniach

RW2010

REWOLUCJA WYDAWNICZA!